



ST. R. STANDÉ
RZECZY

i

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

LUDZIE

ST. B. STAND.
RECEIVED

JUDICIAL

RZECZY
I LUDZIE

Tegoż autora:
M E O T Y (Poezje)

Nie wypoczywa się do domu

STANISŁAW RYSZARD STANDE

RZECZY I LUDZIE

NAKŁADEM Drukarni Narodowej w Krakowie

1 9 2 5



P O E T A

Komiwojażer przedsiębiorca kupiec
spieszy się jeździ po wszechświecie
trzeba zawsze wszystkich ubiec
pełno mieć farb na palecie

ma list żelazny tajny na wyrąb gwiazd
spławi je potem Wisłą
oświetli niemi rozgrzeje ciemne zaułki miast
nad dziecinnymi wózkami jak barwne balony zawisną

cicha to jeszcze zawiła umowa
chytre ją sprzęgły klauzule
on zdradza wam tylko słowa
w rękach zonglera różnobarwne kule

tymczasem zapas gromadzi farb z wszystkich palet
zbiera zardzewiałe gwoździe
chce kiedyś urządzić gigantyczny balet
obrazów na pierwszym lepszym moście

zejdą się łążęgi łyki włóczykije
rozdziawią gęby wybałuszą gały
tłum akordowem a-a-a-a zawyje
w kieszeń się będą złote łyzy sypały

ze suchych statystyk ściąga kopy cyfr
nędze wyciska jak cytryny
sknera zamyka je w jeden dziw:
stalowe słów szyny

skupuje po drodze wszystko co się da
równouprawnia rupiecie z główkami z El Amarna
wschód słońca bezrobocie konferencja w Spaa
we wszystkim kryje się zagadka harda

obładowany workami wypadków i barw
wiecznie w kurzawie gościńców i dróg
w słonecznej kadzi nurza swój garb
całuje czule każdy siana stóg

na dorocznym jarmarku wystawia swój stragan
bezcenne dary rozdaje za darmo
głupi mieszczuch z piór pawich go okrada
nie wie że maskę tylko ukradł marną

wszystko rozda wyśmieją go słupy latarniane
szpalty gazet przemilczą jego władczy gest
a on z niczego sypnie głodnym mannę
z własnej krwi sprawi im masowy chrzest.

B U N T B R U K Ó W

Znam cię oddawna z nocnych przechadzek
gdyś echo moich odbijał kroków
jak cichy smętny obrazek
wyłaniasz się ku mnie z mroków

przejasną dłonią zrzucam z ciebie błoto
i kurz co się wcisnął do wszystkich szczelin
wtedy znajduję purpurę krew złoto
jak barwny stajesz przede mną gobelin

znam cię — tyś chrzczony męczeńską krwią
na ciebie runął fortepian Szopena
zachłysnąłeś się tylko ogromną łąką
przysięgłeś! odwrotu niema

w ciebie wsiąkała krew moich braci
w ciebie się wgniotła matki mojej twarz
a tyś się skulił pod butem siepaczy
gdy nad jej trupem postawili straż

tyś milczał patrzył: moje plecy
tygrys rudy ostrogami tłukł
na placu
tyś milczał patrzył — ty — niewolny bruk!

byłeś jak martwy gdy tłum
z ciemnych fabryk runął w ulice
gwałtem odrywał wieka trun
trupy czerwone ciskał na wieżyce!

chowasz swą zemstę cichą a cierpliwą
tulisz pod głązną powłoką
jeno czekając na bliskie żniwo
nieraz westchniesz głęboko

nikt cię nie słyszy śpi miasto
turkoce głucho pijana kareta
chyli ku tobie twarz jasną
poeta

dawno nikt serca twego nie budził
zerwał ktoś struny Orfejowej lutni
przyjaciół nie masz już wśród ludzi
święci Franciszkowie chodzą smutni

ale gdy w ludziach do cna zemrze Bóg
święte wygasną płomienie:
przemówisz ty — uliczny bruk!
gdy ludzie milkną głos mają kamienie!

znam cię uderzę w akord twojej pieśni
w twą pierś cierpliwą rzucę słowo: wróg!
wtedy czuwajcie niechaj nikt z was nie śpi
w górę podniesie się — buntowny bruk!

Zastanów się blady człowieku zastanów!
czemu stoicie jak trupy?!
z łoskotem stu wyjących wulkanów
pękły kamienne skorupy

już lawa kurzu i błota cisnęła się w górę
czerwone z pod niej wybiegają serca
jeszcze chwila a wpadną na mury
na drutach telegraficznych legną jak kobierce!

dłonie się dobywają tyle lat milczące
las dłoni wstaje głaźne maczugi
z krzywdy swej spowiadają się słońcu
spłacić chcą długi!

z ludzi brył martwych czynią sobie drogi
dziesiątych pięter sięgają już w szale
bladzi ospalcy obudzili się z trwogi
uciekają na dach jeszcze wyżej! dalej!

a twardy gładz w górę wciąż pędzi i gna
i nagich murów czepia się zębami
słońce na drżących strunach tęczy mu gra
i praży ogniami — słowami: Ja z wami!

na dachach tłum urządza wiec
przespali tysiące lat
grom zmusił ich z łózek się zwlec
grom co burzy i buduje świat!

byliście dumni zmógł was podły strach
zmierzyliście drogi planet i gwiazd
już wyżej nie można — skrzydeł wam brak
do powietrznych jazd!

już pierwsze szeregi kamiennej armji
na dach wpadły wskok
swobodą się karmi
rozdarty wzrok!

swoboda hej! swoboda swoboda swoboda!
ramiona rosną różne radują się płuca
krew z nich wytryska czerwona i młoda
ni jedna cisza wrzawy nie zakłóca

pędzą przed sobą przerażone tłumy
już tuż nad próg!
w akordach świętej dumy
na dachach rozsiadł się — triumfujący bruk!

rozkiełznały się energie atomów
policzkują miliard zmartwiałych gwiazd
drzazgi zgruchotanych tronów
runęły w perzynę miast!

już się wżerają w kurzawę chmur
pęka struchlały strop
gna deszcz wiór
w mrok!

prawda jest fałszem prawdą jest cud!
dwa razy dwa jest dzisiaj sto!
z książek czytać jak z nut
potrafi byle kto!

oto wam skrzydła rosna u rąk
kto zdoła wstrzymać wasz pęd
gdy w planetarny runiecie krąg
i z czoła Boga zetrzecie smęt?!

wśród nowych światów budujecie drogi
gościńce gwiazdny ścieli pył — — —

jestem poeta ubogi
na dworze kamiennych brył.

D O M Y

Stoją w szeregu warkliwe jak psy trzymane na smyczy
naprzeciw siebie dwa wrogie kordony
wzdłuż wąskiej kurzem zasłanej ulicy
domy

w ciężkim bezruchu bez wodza bez broni
oczami okien jeno na się biją
kto pierwszy zadrży kto się pierwszy skłoni
nikt nie zna prawdy prawda jest niczyją

żyją ze sobą bokami zrośnięte
jeden nic nie wie o drugiego twarzy
oczy szklane za dnia zamknięte
w noc płoną światłem tysiącznych lichtarzy

jedne się puszą wzdętą fasadą
drugie nędzne u boku pysznych braci marzą
podobne szarym podkościelnym dziadom
inne się mizdrzą świeżo pudrowaną twarzą

wpółród się gnieźdzą zaginione echa
jak misternie przez dzieci ułożone karty
wychylają się cichym uśmiechem
cieniste szkarpy

drwi z nich słońce zlewa je plucha
podpierają kalekie żebraki
zostawiają na ich mokrych brzuchach
brudne tłuste znaki

w świetle łukowych elektrycznych lamp
drżą jak w paroksyźmie febry
ważą w ciszy olbrzymi plan
wojnę czy tylko manewry?

porozumią się z wrogiem co do wspólnej doli
ciasno im duszno w przymusowym splocie
trzeba się wyrwać z niewoli
wykąpać się w słońca spiekocie

wyprężą chude skrofuliczne ramiona
szmaty spelzłego tynku podrą
jak fregata szalona
runą w powietrza ogrom

rozpychają się łokciami wytartych cegieł
biegną wzdłuż ulic po piętach promieniom
szyją wolne parcele olbrzymim ścięciem
otaczają się sadów ogrodów zielenią

kto silny zdrowy zostanie i dojdzie
inne kark skręca w boskiej gonitwie
po raz pierwszy są na własnym żołdzie
biorą udział w prawdziwej bitwie

malarze rzeźbiarze architekci robotnicy
pomóżmy im zginąć i narodzić się znowu
skartaczymy ogniska gruźlicy
postawmy domy nowe!

niech się rozłożą wygodnie szeroko
niech piją z filiżanek zielonych liści
niech mają jedno nad sobą ekonomiczne oko
słońce niech je codziennie z kurzu czyści

dźwigi nas wyniosą na setne terasy
w szampanie powietrza będziemy się myć
w dół patrzeć na rzek lampasy
na cienką czarną ulicy nieć.

S K L E P Y

Z zgrzytem żaluzyj budzą się o świetle
ziewają szeroko przeciągle
gradem barw rzucają niesamowicie
jak kulami srebrnymi zongler

otwierają pstre oczy pyszne wystawy
przyciągają bez reklam bez prośby
szyld jeno wisi godło wielkiej sprawy
przy wejściu stoi nieruchomy woźny

są mniejsze chytre gwarliwe kokoty
natłokiem słów złotych wbijają ci w głowę
szale jedwabie zefiry trykoty
sprzedają tanio taniej o połowę

są drobne małe wiecznie głodne wnęki
żyd stary szklanka sok farbowany
czekają cicho aż do brudnej ręki
przylepi się krążek miedziany

zwały etamin obuwia futer bieleziny
sterty papieru książek ołówków piór
w tęczówkach przechodniów krwawe rozrywają blizny
serc łomot stroją w pożądliwy chór

we wszystkich oknach leży człek spracowany
zgnieciony na papier starty na woale
zwinieły w ołówki zdarty na dywany
zmełty na mąkę skopany w srebrne pokale

leży i krzyczy wielki nauczyciel
z tych wszechnic zbrodni wbrew woli wykłada
na serca ludzkie laso zarzuca jak hycel
gryzącym swędem w mózgi się wkrada

białemi chleba bochnami złodzieja wypatrzy
kul szklanych blaskiem ostrzy chybkie noże
wprowadźcie numerus clausus! zbyt wielu słuchaczy
lub niech mistrzowi ktoś uciec pomoże!

usuńcie szklane ściany zwalcie opór drzewi
człowieka z poza nich wynieście na szeroki świat
niech wreszcie bilans uczyni z potu i krwi
niech szat waszych i potraw poda wam chemiczny skład!

potem idźcie do domów kujcie bez zmrużenia powiek
wkrótce będzie egzamin turniej strach
ten sam będzie pytał w sklepach krzyżowany człowiek
z fizycznej chemji wszystkich waszych spraw.

M O S T Y

Prężą się w słońca wschodach i zachodach
kąpią się w deszczu zimnie i spiekocie
wielogarbne wielbłądy w gwarnych grodach
drzewiąją ludzi wozy i ciężarów kosze

z napiętymi mięśniami stoją trwają lata
nigdy nie mogą wyprostować ramion
na garbach swych przenoszą sprawy świata
jak półki pod stosem książek się łamią

strzelają tęczą ponad srebrne wstęgi
o mosty nad Tamizą Sekwaną czy Wisłą!
ciężkim łukiem się chylą nad ulic popręgi
ciąciwą czarną niską

jak kłownów obwieszono je dzwonekami reklam
:palcie tylko papierosy Massary:
na twarde obojczyki zarzucono ekran
nocą rżą na nim różnych firm maskary

dźwigają na swych barach złote dywidendy
przewożą małe troski smutki i zabiegi
ludzkie sny i tęsknoty szaleństwa i błędy
z jednych brzegów na drugie takie same brzegi

przeszły po nich armje każda była wróg
dźwigały wroga w pokorze
mogłyby stać jak triumfalny łuk
gdyby pod sobą otworzyły morze

zamknęły je ranki południa wieczory
:iść lewą stroną jechać powoli:
zamknęły je chude blade semafony
most naprawiają kark go już boli

a przecie się wydarły ponad miast pieczary
by się cisnąć daleko zdobyć światy w pędzie
w amplitudzie skoku skupić wszystkich snów pożary
ich płomienne języki porozrzucać wszędzie

nieraz bunt tłący buchnie z nich wspaniałym gestem
pękną przęśła żebra żelazo-beton
oszołomią miasto protestem
jak huczną rakieta

wasza wiedza jest pusta
o ludzie trzeźwi maluczcy
skąd wiecie czy w nagłym pęknięciu lustra
nie drży łoskot jutrzejszej rewolucji?!

wyrwą się kiedyś z brzegów runą w środek miast
trzasną w lampy łukowe drogie
nie lamp nam trzeba ale gwiazd!
oświetlić dłuższą drogę!!

trzeba siecią stalową sprząc bieguny
z Warszawy po Kongo trakt zbudować prosty
kto wam szulerzy przewiezie armat tabuny
gdy generalny strajk ogłoszą — mosty?!

łukiem powiążą wszystkie ludy świata
most Babel stanie nad zielonym globem
tam się wszyscy spotkamy! do widzenia w warsztatach!
hip hip hurra! poeci — budujemy słowem!!

L O K O M O T Y W Y

Chcę dzisiaj z wami rozmawiać siostry moje lokomotywy!
zimne są brzuchy wasze ciemne wasze oczy
nie widzę nad wami roziskrzonej grzywy
ni białej chmury co się z pyska toczy

leżycie ciche zmęczone gdzieś na ślepym torze
spasłe stalowe krowy
przeżuwacie dziwne dalekie podróże
zawadjackie łowy

wiatr wygarbował skórę waszych ciał
powietrze chłodnym ręcznikiem ścierało pot z waszych czoł
maszynista dziką melodię wam na rogach grał
na przystankach krwią w zakopconą chustkę pluł

Paryż Berlin Warszawa Bukareszt Moskwa
śmieszne punkciki w nieskończonej orce
jak igła ostra
wżeracie się w czarne dworce

odpocznijcie wkrótce znów popędzimy w zieleń czy na lody
czarnego twardego mięsiwa sypnę w wasze brzuchy
zaleję kubłami zimnej wody
aż wydrę z was pomruk przeciągły głuchy

już wam siedzę na karku już trzymam za rogi
rzutem cudownych oczu pieścę wasze ciała
bacność! ruszamy! śmieszne punkty z drogi!
przed nami przestrzeń śmiała!

siostry moje lokomotywy
cudowne moje ziszczenia
to z mojej czupryny bucha bałwan siwy!
to moje oko iskry wypromienia!

pędzę szalony express w biel rozpałam szyny
mosty przierzucam przez ocean
drogę ulepiam jak kawałek gliny
wyję zwycięski mój pean

a kiedy zechcę to wasz bieg poziomy
skręcę! zawrócę w pion!
zadrę wam pyski do góry zatrwożę gromy
czające się wśród chmurnych łon

buchnę gwizdem ogniem parą
o Wielki Wóz zaczepię dwa stalowe sznury
czarną osmaloną marą
wjadę na chmury!



A U T O M O B I L E

Szoferowi W. Wandurskiemu.

Różnobarwne torpedy przyczajone koty
wiecznie zziajane wiecznie szukające
w słońcu widne zdaleka jak placuszek złoty
w gęstym mundurze pyłu tkwiący jak w mące

łaskocą przestrzeń długie srebrzyste
monszalanckie tygrysy z monoklami w oku
obnoszą wszędzie swych zwycięskich raidów listę
we Włoszech Francji w Indjach i Marokku

przytulne miękkie ciche kocice
skarbonki dat różowych rendez-vous
poduszkami swych łapiąt wycierają ulice
po twardych brukach biegną jak po mchu

surowe pyszne pyskate zwierzaki
z furkotem szmatek na wypukłym czole
wiozą cylindry sztywne gorsy fraki
na konferencje zjazdy festiwale

niekształtne proste zabłocone taksi
z ciężkimi kuframi na wytartym karku
znają tylko bieg krótki od hotelu do stacji
zezem kół poszarpanych patrzą w zieleń parków

ciężarna kocica zgrzytający kamion
ogromne garby mu na grzbiecie rosną
pośród lubieżnie wyciągniętych ramion
sunie surowy pracy apostoł

dobyte z dżungli ujarzmione żywioły
któremi pyszni się Daimler Fiat czy Ford
w naszym ręku służebne powolne woły
oswojone watahy dzikich hord

za dnia drgające oślepienie potwory
wloką za sobą ogon puszysty długi
nocą otwierają swe ślepie reflektory
całe miasto w jaskrawe krają smugi

plują dokoła odpryskami błota
w najciaśniejsze ulice ich zły pomruk sięga
niejeden na nich przekleństwami miota
w maluczkiem sercu zemstę poprzysięga

głupia wrogość się snuje między ich tupetem
a czarną masą spracowanych ludzi
:na pieczętę dognać muszą swą codzienną metę!
piąta godzina już ich ze snu budzi!:

dumę ich toczy samotności trąd
każdy pyszny jak strącony cherub
ryczą melodją różnorodnych trąb
na każdym lśni inny kolorowy herb

jak wściekle byki nieraz wpadną na się łbami
cudowne trzewia stalowe pogną i pokruszą
mdleć będzie błada jedwabista pani
zebrzące dzieci w tłoku się poduszają

zda się w swej wiecznej szalonej gonitwie
szukają czegoś może dnia narodzin
kiedyby w jednej ostatecznej bitwie
zniszczyli kanwę złych samotnych godzin

przyjdzie dzień taki w gwarze i spiekocie
ulicą przeciągnie biczowników sekta
portrety władców będą kąpać się w błocie
tłum spali grube w skórę oprawne pandekta

zwichrzy się przed operą sznur lśniących pojazdów
strojne panie wybiegną bez okryć trwogą pijane
będą ciskać pięści w gwiazdy
obłąkane

stalowe koty gnać będą w oszalałej męce
ciemne ulice przebiegną jak świetlane larwy
zatrzymają je czarne uzbrojone ręce
zedrą z nich herby chorągiewki barwy

wszystko się zmiesza zatraci ujedni
nagie ruszą Daimlery Fordy czy Fiaty
w karnym ordynku jak żołnierze przedni
u zbiegu ulic staną barykady

oprze się o nie żywy ludzki wał
by na brzeg drugi rzucać mosty złote
ludzie miękko się wtulą w atłas stalowych ciał
i z nich i z siebie zdejmą dni sromotę

potem wszystkie popędzą na mityng do miasta
każdy z herbem zdobytym chorągwią czerwoną
na środek placu wpadną jak brygada jasna
zamknięta tłumów koroną

na każdym stanie zdyszany agitator
serca kawały będzie rwał i ciskał w twarze
zapłonie od nich tłum zapłonie motor
w ogólnym serc pożarze

grzmoty pieśni jedynej słowa zagłuszą
było i będzie w jedną stopi się chwilę
wtedy jedną staną się duszą
ludzie i automobile.

P A C J E N T

Pędzi zdrowy radosny roześmiany
toczy przed sobą jak kulę śniegu powietrze
nagle krzyknął coś krótko dziko
przystanął
na środku drogi stanął
naprzód cylinder lśniący wyjrzał oknem
szofer się przed nim zalił cicho
wyszedł ze środka młody pan z monoklem
razem z szoferem stoją i radzą
zebrała się gawiedź zimna ciekawa
policjant notuje cyfrę litery
krzyczano mówiono telefon 2034

A U T O G A R A G E W A R S Z T A T Y

stalowy łobuz stał niemy nieprzytomny
ktoś radził gorącej herbaty
ot! niefachowi ludzie
przyszedł lekarz w niebieskiej bluzie
ujął za puls z powagą pokiwał głową

opukał wysłuchał
rżenia szmery świsty
przypatrzył się szczękom
zajrzał do zbielejącej mordy
wyjął narzędzia chirurgiczne z torby
zakasał rękawy i mocną pewną ręką
w omdlałego Forda
wbił
strzykawkę Recorda
wysmarował spoił przewiązał
tam gdzie kość była zgięta
dobrodusznie poklepał pacjenta
ruchem ostatnim ujął za puls
pacjent roześmiał się zdrowo radośnie
już znowu młodo zielono miał w głowie
lekarz w niebieskiej bluzie
brał honorarium mizerne mdłe
rękami czarnymi z rękawiczek glące.

TELEGRAFISTA

Tyk tyk tak tak tykota młotek
szeroki świat w pasek się wąski wydłuża
mleczna droga wypadków tajemnic plotek
kropek kresek czarnych burza

przez żółte palce ciekną białe pasma
ludzkich trafów utrapień i zabiegów dziennik
zna najskrytsze tajemnice miasta
szary pocztowy urzędnik

wie kto się pławi w czarnem winie nędzy
kto czeka na uśmiech lub śmiertelny dekret
kto drży o los na łowy wysłanych pieniędzy
kto dźwiga w sobie zły okrutny sekret

tysiąc młotków hasa rozsadza mu głowę
w oczach wiruje gęsty kłębek zdarzeń pytań
musi rozwikłać słów splątanych wymowę
cisną się gwałtem pod czaszkę wołają: czytaj!

wszystkie druty z dalekich miast
przez mózg przebiegają i drżą
u serca wielkiego dopraszają się łask
serce jest jak kruchy krwawiący się prom

musi donieść młodej jasnej dziewczynie
że jej matka przystań jedyna nie żyje
jest jak zegar co w każdej godzinie
na radość lub żalobę bije

on to sprawia że miasto mgłą się osnuwa
gdy je napełni echami katastrof
jednym nakazem tłumy dyscypliną skuwa
lub okna spłomienia czerwienią astrów

białymi wstążkami zabija lub wskrzesza
chłosta biczami lub uśmiechem pieści
gdy zechce śmiać się płakać będzie rzesza
lub oddech straci w pustce bez wieści

dwadzieścia lat już odbiera melodje
które wygrywa ktoś w czeluściach miast —
zrzucić niewolę odpowiedzieć godnie
zgwałcić zmiętosić tykający czas!

na jeden dzień stać się władcą prawdziwym
garnąć ku sobie błogosławieństw kłęb
stworzyć choć jeden dzień szczęśliwy
rzucić na miasto tęczę roześmianych bomb

wyłączy aparat zmilczeć mu każe
wszystkich mieszkańców spíše adresy
ze wszystkich ameryk złote poleci bagaże
na srebrnych skrawkach sam wygra słodkie karesy!

światłość i radość będzie pęcznieć w mieście
w piersiach wszystkich się pieką bochny darów pszennych
serce swoje wreszcie im odda powie: bierzcie!
on — szary pocztowy urzędnik.

Z E B R A N I A

Pod kolumnadą sztandarów z dętą orkiestrą
ściany sal rozpychają lub gniotą pomniki
wtórują mówców niesfornym gestom
w rezolucji chowają słów ostrych szyki

są ciche tajne w poddasznej izbie
tam krzykiem szept jest pochylonych głów
na otoczonej wrogami wyspie
przygotowują bomby eksplodujących słów

są w gabinetach gdzie przy długim stole
uchwala się wojny dzieli dywidendy
gdzie mord się stroi w wytarte symbole
gdzie fabrykuje się dla mas legendy

są na kopalniach spontaniczne złoty
czarna głów masa tłucze o mównicę
pada hasło: zatrzymać roboty!
już pieśnią huczą szerokie ulice

są takie jak rude chmur gradowych czołgi
drżą na muszce brauninga kończą na sztylcie
są inne jasne jak łubinu łąki
są każdej chwili i na całym świecie

wydają dekrety sądy manifesty
w pokracznych literach duszą się na szpaltach gazet
plotka o nich zgrzytem się wkręca w rozkoszne sjesty
nocą nad miastem kołuje jak złowróźbny gacek

ciasne konwentykle koteryj partyj narodów ras
w Warszawie Polacy Turcy w Angorze
monarchistów w Poczdamie komunistów w Moskwie wita za-
Hindusi mówią w Bombaju o biernym oporze [chwyt mas

zawsze wódz jakiś stoi na trybunie
tłum łyka mięszsze soczystych mów
tłum go uwielbia tłum go rozumie
pod stopy rzuca mu most pontonowy swych głów

na środku świata raz zwołajmy wiec
niech zjadą niewolnicy wszystkich narodów i plemion
w cudownej kakofonji hukną wzdłuż i wszerz
:my władamy ziemią!:

samum głosów poskręca głupią zrozumiałość słów
świetlnych reklam litery zaczną skakać wspan
trąby powietrza zetrą anteny w puch
jedno będzie nie i jedno tak

najęźsi głowacze staną na mównicy
chęć rzucić pięknie toczone programy wnioski i hasła
wszystkie zatoną w tonów nawałnicy
tłum jest teraz dyktatorem miasta!

ja w sukurs mówcom o słowo proszę proszę o głos z całych sił
jak w bęben będę tłukł w worki napiętych płuc
rozetną mi skórę gałęzie nabrzmiących żył
aż w jednej chwili zrozumieć że niepotrzebny już wódz

nie przekrzyczę wichru głosów syren dzwonów trąb
spadnę między rąk wyciągniętych maszty
wyciągnę się wzdłuż i wszerz w górę i w głąb
będę krzyczał wszędzie we wszystkich w każdym!

F O R T E P I A N Y

Cudownie symfoniczny orkiestralny musi być huk
gdy fortepiany z trzecich pięter runą na bruk
targną się struny w ciasnych pokojach zamknięte
i ludu gniew rozegrzmią w furiosa niepojęte
rozsypią się klawisze jak pereł odłamy
ciężkim bemolem uderzą hebany
miasto całe zadrży tysiącstrunnym basem
wioliny się rozplączą nad zduszonym czasem
nad jakimś miastem zawisnie przez chwilę w powietrzu jak ptak
fortepian na którym grał Debussy lub Sebastjan Bach
potem runie na głowę moją płonąca wśród tłumu
i jękiem organnym się rozwydrzy
jeszcze się wydzwignę z pod ptaka czarnego skrwawiony
jeszcze raz głowę podniosę
szum piór ognistych uczuję we włosach
lecz już słów mi zabraknie
jeno ręką zdruzgotaną na strzępach wiszącą
ostatnie znaki tajemne zakreślę
na
obojętnych
niebiosach.

Wgniatamy codziennie zgięty kark w mury szare
krwawe oczodoły wypuszczamy na zwiady
u nóg nam dygoce psisko stare
liże ciepłe w błocie wydeptane ślady

skrzynkę z zapalkami dali nam rodacy
w czarnym druku lśnią na niej te dziwaczne słowa
:w 80⁰% niezdolny do pracy:
jak nam się śmiesznie kiwa porażona głowa

pomięte papierki wpychają nam w kieszeń
marzną na zimnie trzeszczą drewniane paluchy
zdaleka już śmiech dyskretny lub fałę uniesień
chciwie łowimy uchem

wokół nas drze się zziajany duch miasta
z pod kół gumowych błotem sobie kpi z nas
jeśli na niebie ciemnem ukaże się gwiazda
to pewnie krzywi się jak krwawa blizna

do niewidzianej wznosimy usta pozszywane
pełne skłębionych poplątanych modłów
roją się nam jakieś sny pijane
w których głową tłuczemy o mozaikę podłóg

na wszystkich balach tańczymy święcimy karnawał
a gdy uliczny obudzi nas głos
zda się: jakiś kawał
okrutny urządził nam los

czasem huf młodych żołnierzy zatrząsie ulicą
w szyby zadzwoni tak znana muzyka
sławie się śmieją zuchowate lica
wtedy nam serca ogarnia wspaniała panika:

rzucić się tym młodym pod nogi
rozpostrzeć się na krzyżu protez
raz wreszcie z piersi ubogiej
wyśpiewać olbrzymi protest!

fałsz nazwać fałszem zdradę przeważać zdradą
z morderców zerwać generalskie szlify
zachłysnąć się słów płomiennych tyradą
i widzieć! widzieć! lęk blady i cichy

symfonią łzami nabrzmiałych głosów
wydać dekret o niechybnej zgubie
przyszłą chwałę herosów
w poszarpanym zjawić im kadłubie!

wiosennie śmieją się pachnące damy
nikt w nas nie widzi toczącej się walki
gdy głosem ochrypłym wołamy
:zapałki!!

nieraz gdy mróz nam wybieli już kości
a z barów dochodzi szalony dźwięk shimmy
coś gna nas by wpaść między gości
piorunem stanąć nad nimi

długą protezę trzasnąć w wszystkie stoły
lampy kryształowe rozsypać po ziemi
zwichrzyć beztroskie tony
aż wszystkich strach wielki oniemi

wedrzeć się w wszystkie noce miast
jak lampy łukowe strzelić nad domami
i krzyczeć krzyczeć wykrzyczeć się raz
wszystkimi bliźniami!!

BALLADA O „NIEZNANYM ŻOŁNIERZU“

Był nad Marną Isonzo nad Berezyną
wszędzie świszczą kule i ludziska giną

był nad Wisłą w Szanghaju pod Mekką
wszędzie jest jednak blisko i daleko

bił się w powietrzu na lądzie i morzu
zawsze ginął w nocy nigdy dnia nie dożył

pod germańskim cesarzem puszczał z dymem miasta
krzyżem go żegnała matka własna

śpiewając Marsyljanekę bronił bram Paryża
życie człapie powoli ale śmierć jest chyża

pod wszystkimi godłami przewędrował pola
wszędzie ta sama pieściła go dola

znali go dobrze z zawodu z nazwiska
gdzie dom jego był tam wiatr dziś tłucze suche rżyska

papiery miał świeżutkie w setki ksiąg go wpisano
kapral tłukł go wieczorem sierżant zasię rano

nad Wisłą ma krzyżyk: Wojciech Zalewa
krzyżyk mały drewniany z sosnowego drzewa

na mogiłce nad Marną zwie się Jean Duval
szedł na wojenkę jak szedł wprzódzi na bal

nad Isonzo ma deszczułkę: Mario Raddioli
gdziesi ziarno nie weszło na jałowej roli

nad Berezyną: Iwan Maksimowicz Łazow
na nic się nie zdało pięć sztuk świętych obrazów

znali go więc dobrze z zawodu .z nazwiska
życie było daleko śmierć czekała bliska

aż tu nagle w Paryżu w wielkiej stolicy
grób mu stawiono w najpiękniejszej ulicy

naniesiono wieńców kwiatów pełno jak pierza
nazwano go mogiłą nieznanego żołnierza

przychodzą ekscelencje generały i króle
każdy przemawia bardzo pięknie i czule

kopiec kwiatów grób przywarł jak wieża
każdy udaje że nie zna nieznanego żołnierza

raz się wszyscy nad mogiłą zebrałi
nieznanego żołnierza czyny wysławiali

mówili długo dokoła ciche stały działa
nagle z tłumu czyjaś głowa siwa wyjrzała

cisza się stała otworzyły się głębie
w ciszę wpadły słowa jak białe gołębie

„ja go znam dobrze z zawodu z nazwiska
wiatr zwiędłe liście na wsze strony ciska

z pod jeszcze większej góry kwiatów jabym go poznała
serce jeszcze czerwone chociaż głowa biała

ja znam ich wszystkich rozrzucone ziarna
śnieć zeżre pszenicę mąka będzie czarna

to jeden z synów moich po lat ośmnaście
w góry go zabrano w górach są przepaście

jam matka! matka z Paryża i matka z Berlina
zna mnie świat cały najmniejsza mieścina

krzyczę w Warszawie błąkam się po Moskwie
kto żyw może umrzeć trup się już nie ocknie

to syn mój jeden z synów moich tu leży
kłamiecie mówiąc jeden z nieznaných żołnierzy!“

znikła w tłumie staruszka — pewno obłąkana —
nad mogiłą straż uzbrojona czuwała do rana

bali się że kwiaty usunie jakaś dłoń — pewno obca —
nieznany żołnierz gotów wstać z pod grobowca

gotów w głoś krzyknąć zawód swój! nazwisko!!
zresztą śnieg padał było zimno i ślisko.

N I E !

„Znowu będą się zarzynać“ —

Kawiarnie krzyczały tysiącem pijanych gardzieli.

Auta sunęły cicho po gładkim asfalcie —

przyczajone zwierzęta o gorączkowych ślepiach.

Po wszystkich kątach gniotły się świstki dyszące zemstą.

Posmak krwi w powietrzu.

Przy flaszkach szampana walono pięściami w stół —

bezmyślne języki bełkotały o konieczności obrony ojczyzny.

Zakołysały się przed oczyma wszystkie zamputowane w ciągu

8 lat ręce i nogi —

otulono je różnobarwnymi szmatami i podano ludziom do całowania jako relikwje narodowe.

Wszędzie. To samo. Jednakowo.

„Będą się znowu zarzynać“ —

Z czarownym wdziękiem wyginają się gibkie postacie oficerów —

z pod szerokich pstrych kapeluszy płyną ku nim fale w tajemnicy rozchylanych uśmiechów.

Jutro. Powszechna mobilizacja.

Duma osiada na wydętych wargach —

wyzywające oczy szukają oporu.

Redakcje pracują przez całą noc —
trzeba rano miasto obrzucić tysiącem rakiet.
Poeci artyści malarze czekają podnieceni w przedpokojach szefów — podwyżka od wiersza.
Okna pałacu ministerstwa wojny rzęsiście oświetlone.
Wszędzie. To samo. Jednakowo.
„Będą się znowu zarzynać“ —
Uparta myśl odrzuca wszystko co nie ma z nią nic wspólnego.
Bije z wszystkich szpalt pism —
ścieli się po wszystkich szyldach —
odbija się jak piłka od wszelkich czynności.
Chcę coś powiedzieć.
Uparta myśl ubiera się zawsze w jednakowe słowa.
Witam niemi wszystkich znajomych. Żonę.
Patrzy na mnie osłupiałemi z lęku oczami.
Ludzie usuwają się przede mną i kiwają z politowaniem głowami.
„ — — — — nie nawiedziła szarańcza pól — — — —
— — — — ni dzuma spadła na piersi odkryte — — — — „
Włóczę się po mieście. Upewniam się. Umacniam.
Trzeba powiedzieć — nie.
Krzyczę:

NIE!!

Ogląda się za mną sznur połyskujących aut.
Z fabryk szli gromadami robotnicy.
Twarze kamienne. Głazy.

Trzeba powiedzieć — nie.
Wszędzie. To samo. Jednakowo.
„Będą się znowu zarzynać“ —

W domu zastałem depeze ze wszystkich stolic Europy:

„Przyjeżdżam rano. Trzeba powiedzieć: nie.“

Skąd — oni — wiedzą?

Czarna cienka linja sejsmografu wydłuża się bezustannie —
już przebiła mury obserwatorjum.

Rano. Pukanie. Pełno kamiennych twarzy.

„Wołałeś —“

„Ja? Skąd wiecie —“

„Chwila. Linja. Wydłuża się w nieskończoność.“

Patrzemy sobie długo w oczy. Ściskamy dłonie.

„Więc —“

„Gotowe.“

Odeszli.

W skocznym nierównym tańcu podnosiła się rtęć w barometrze.

Świeże dzienniki ociekały obleśną śliną entuzjazmu.

Okna pałacu ministerstwa wojny wciąż jeszcze gorzały światłem.

Ostrzenie nożów.

Fabrykacja gazów trujących.

Technika najszybszego niszczenia ludzi miast.

Pod gmachem tłumi.

Wszędzie. To samo. Jednakowo.
Czekamy. Słyszać bicie milionów serc.
Już jestem spokojny. My wszyscy.
Gromadami stoją robotnicy z fabryk. Głazy.
Z trzaskiem rozwarły się drzwi balkonu. Naczelnik państwa. Sztab.
Usłyszałem tylko jedno słowo: wojna.
Linja sejsmografu uderzyła w opokę gwiazd!
Ze wszystkich stolic Europy. Huraganem runęła pieśń.
Jedno słowo:

NIE!!

Zolbrzymiałe!

Kamienne dłonie ujęły młot.
Jeden cios w świecące próchno.
Pogasały światła w pałacu którego godłem było:

„Si vis pacem, para bellum.“

Wszędzie. To samo. Jednakowo.

Kamienni ludzie wzniesli sztandar —

załopotał nad wszystkimi lądami i morzami:

„STANY ZJEDNOCZONE ŚWIATA“.

N O C N A M A D O N N A

Już wydali ubrania już leżą na łózkach
ręce pod głową kolana zgięte
ostatni dźwięk kluczy pokutnicza duszka
wybrzękuje fałszywą kolędę

czoła zmarszczone patrzą w biały strop
coś się waży w cmentarnej ciszy
idzie serdeczny druh za krokiem krok przyjaciel mrok
łaskot setek bijących serc słyszy

madonna nocna zdjęła czarny djadem
długi sznur fioletowych koralu
cisnęła niemi w gmach czerwony gradem
już się nie bali

jakiś dziwny obrzęd się zaczął
pukania szmery klątwy wesele
mury mówią śmieją się i płaczą
czarna giełda czy msza święta w kościele?

jakby jakiś tajemny knuli spisek
rozmawiają ze sobą dziwaczniemi znaki
przykładają uszy do blaszanych misek
wgrzają się w ściany jak nędzne robaki

puszczają przez okna na sznurach i nitkach
drogie ciężko zdobyte przedmioty
potem chowają w przemyślnych skrytkach
owoce swojej tęsknoty

ten buty jeszcze całe zamienił na tabak
ów przejął ważny tak czekany! gryps
wyciąga się na pryczy jak indyjski nabab
płynie ku brzegom wysnionych wysp

inny otrzymał biały bielusieńki chleb
oddał zań sznurek mocny długi
buduje jasny obszerny sklep
przyjmuje cztery sługi

pochłaniają te skarby w cudownej ekstazie
jakby w nich ciało pańskie i krew była zaklęta
pławią się w niedopałków kadzidlany miazdze
może to pierwsza ich komunia święta!

tylko jeden nie dopukał się niczego
nie dosłyszał nic nie dostał
płakał prośbą bielił czarne niebo
w kratkach twarzą tkwił jak krosta

nocą jak księżyc zielony
jego twarz świeciła mokra
patrzył gdzieś w znajome strony
:146! odejdziesz ty od okna!!:

W O L N A G O D Z I N A

Wyszli z celi na małe okrągłe podwórze
w zwartym szeregu jak mur stanęli przy murze
ku zielonym wyłogom obróceni twarzą
czekają chciwie kiedy im ruszyć rozkażą
już idą już na rozkaz zwrócili się w prawo
idą dokoła klombu zarosłego trawą
w tył ręce założyli jak łańcuchem skute
nogi ciężkie rzucili w dokolną marszrutę
w równych odstępach wloką się miarowym krokiem
z oczami mętnymi jak brudne szyby okien
jakby węgle dźwigali wprzód się pochylili
a myślą ku jakiejś zgubionej biegną chwili
ku jakimś pelargonjom gdzieś w otwartym oknie
ku jakimś oczom jasnym w których płoną ognie
ku jakimś podczas burzy straconym okrętom
ku przystaniom dokąd kiedyś może przybędą
ku izbie gdzie stół jest i biały na nim obrus
już sprężyły się nogi by dogonić obraz
który jak błędny ognek wciąż przed nimi świeci
już nie suną powoli już biegną jak dzieci
ku idącej zdaleka uśmiechniętej matce
ku obiecanej złotej w jej rękach zabawce

rytm marszu zagubili przed się zapatrzeni
zapomnieli o celi o chłodzie kamieni
w koło w koło wciąż biegną zawrotna karuzel
jak młode konie z stajni wypuszczone luzem
oto z ciemnej wilgotnej puścili ich celi
tu im stopnie do nieba stawiają anieli
już idą miedzami pośród pól i zieleni
z śpiewem jurnym na ustach z rękami w kieszeni
szczęść Boże! wołają spracowanym żniwiarzom
już są koło domu tam już światła się jarzą
koło serca tak dziwnie przed oczami mętno
już są na schodach już pędzą na czwarte piętro
od drzwi już śmieje się ku nim zażawiona twarz
nagle w mózg głos się wżera dozorczy: wstecz zwrot marsz
zachwiało się na chwilę koło rozpędzone
zawracają powoli idą w lewą stronę
zwolna ciężko się wloką tak duszno tak słabo
idą dokoła klombu zarosłego trawą
idą drogą powrotną tą samą tą samą
po schodach koło domu ulicą tak znaną
wracają miedzami pośród pól i zieleni
powoli powoli powraca oddział cieni
po stopniach które im postawili anieli
cicho zstępują do wilgotnej ciemnej celi.

Zamknęły się za więźniem drzwi ciężkie żelazne
zgrzyt klucza zgasił tysiąc i ostatnią gwiazdę
ostawił go na środku małego kwadratu
skąd dzień w dzień chude ręce klną miastu i światu
gdzie dzień w dzień krzyż się rzuca na czyjeś ramiona
na którym dzień w dzień człowiek z nienawiścią kona!
on nie dognał uścisku w tej wolnej godzinie
więc może tu w pustej celi łaska nań spłynie
może tu go nikt wstrzymać brutalnie nie zdoła
już się puścił w bieg skory wzdłuż ścian dookoła
tą samą pędzi drogą wśród pól i zieleni
w oczach się wszystko dwoi kurczy się i mieni
a on jak zwierz ranny o ścian upór się tłucze
aż z cichym jękiem padnie na drewnianą pryczę.

Za oknem w słońcu prażą się czerwone mury
jak z ludzi zdarte krwią ociekające skóry.

W C E L I I

Siedzimy sobie cicho w celi
uczymy się na pamięć ścian
nie znamy wtorków ni niedzieli
każdy dzień jest taki sam

splatamy dłonie wokół kolan
nizamy sny na okien kraty
ścigamy polarne pola
nabrzmiałe latem

czasem smutni jak ostatnia gwiazda
na spacer idące sieroty
szary domek na końcu miasta
Jesteśmy jak w chmurach zgubione piloty

czasem nam radość rozplówienia głowy
co krok na sześć kroków zasiewamy ziarno
mamy potem chleb razowy
za darmo

wbijamy weń zdrowe zęby
cudacznie śmieją się nam oczy
wiemy dobrze! napewno! którądy
ziemia się potoczy

bębniemy palcami po stole pieśń zakazaną
nogi o dyle rzną akompanjament
z wieczoru bezczelnie czynimy rano
w rygor wojskowy wprowadzamy zamęt

mów i okrzyków pełne mamy gardło
śmiechem bijemy w mury
jak młotem w kowadło
aż iskry lecą złociuteńkie wióry

przez wizyterkę spojrział strażnik srogi
zapomniał zakłąć z przerażenia
że tak bez meldowania skaczą nasze nogi
że więzień celę w jasną kuźnię zmienia!

W C E L I I I

Śmiesznie jest tak chodzić po ciasnej celi
sześć kroków wzdłuż i dwa kroki w szereg
co pewien czas iść wspólnie do kąpieli
przez kraty skrycie szczyty oglądać wież

śmiesznie jest nierozumnie jest luto
trzy razy dziennie wciąż to samo jeść
na spacer chodzić jak żołnierzy pluton
w równych odstępach po kroków sześć

najśmieszniej jest jednak poecie:
kąpie się w własnych snów ukropie
jeżdżąc suchym palcem po świecie
myśli o Europie

siedzi skupiony przy swej radiostacji
pod nosem coś nuci i trzy po trzy plecie
odbiera depesze od wszystkich nacyj
notuje w małym kajecie

nadawca wścieka się i wstręty czyni
litery rosna pokraczne i zle:
pan prezydent potknał się w Gdyni
na grobach żołnierzy śmiechem rzy Poincaré.

K O L A C J A

Już słychać szurgot nóg na korytarzu
czekam z miską u drzwi
po miękkiej białej plaży
snują się damy ubrane au dernier cri

łyżka jest rdzą pokryta
wspaniałe zagadnienie głodu!
przytem się gazetę czyta
trzydziesta sesja Ligi Narodów

jest mokre gęste gorące
tłustych ok szukam w ciężkim mozole
za jedno takie w zupie słońce
przyznaję Anglji naftę Mossulu

miska już pusta jak spalony step
panie starszy pan poda mi mazagran w hallu!
gryzę czarny gliniasty chleb
raut na sto osób w Bristolu

całuję wasze ręce piękne panie na plaży
chciałbym przekornie zmącić ligonarodową kadź
buljon z jajkiem cudnie mi się marzy
idę spać.

Długo biłeś w bryłę niekształtną świata
rozprysła w tysiąc wyczerpanych ksiąg
nad każdą kłoni się twój uśmiech brata
czy tytuł jej prawda czy błąd

zielone pędy pieścisz białą brodą
stare dęby wilgocią czerwonych warg
rozpędy uczuć jedną przerastasz głową
gdzie inni tracą ty wygrywasz targ

siedziałeś syty w ciepłej gospodzie
mądrze gawędził z tobą ksiądz Coignard
na rwące fale słałeś papierowe łodzie
za złoty pieniądz ludzie brali twój dostały żart

przyznać trzeba szlifierz z ciebie nielada
słowa twe pereł nanizany sznur
odebrać je od tego który niemi gadał
staną się zimne jak lodowce gór

my ciebie starcze dziś nie chcemy znać
twoja mądrość jest nam zbyt obca
musimy jeszcze biec i gnać
z zapalem młodego chłopca

kiedyś ja nie wiem kiedy to będzie
pod jaki czas w jakiej krainie
z radością pozdrowią cię wszyscy i wszędzie:
a witaj-że nam miły hospodynie!

Na posiedzeniach strzela gęstym śrutem słów
wypadki cedzi przez sito chłodnych analiz
palcami żłobi w powietrzu dla wrogów swych grób
nazywa się towarzysz Kalikst

zakłada koła grupy po dzielnicach miast
rozpiera go energja jest zawsze i wszędzie
młotami pracy tłucze w wyblakły czas
aż serca ku niemu się skłonią i władzę posiedzie

wtedy rewkom zorganizuje w Lublinie
dostarczy bomb w dzień państwowego święta
z wiedzą szefów ministerstw rozwinie
plan zamachu na prezydenta!

rzuci bezbronny tłum na twarde trotuary
na ostry zasięg bagnetów szabel i kolb
sam strzeli w ponury mur mundurów szarych
z luźkich i końskich ciał ułoży barwny klomb

wspie wszystkie mieszkania ludzi którym ściszał dłonie
nocą policja pukać będzie w tysiąc drzwi
sprowadzą ich skutych w kajdany chyłkiem ustronnie
blade będą mieli twarze i ściągnięte brwi

tej nocy on będzie pił w Chat Noir
za gorsy kokot będzie pchał banknotów pliki
będzie śpiewał hymn narodowy będzie się darł
na cześć republiki!

rano jadąc do domu suchy trzask usłyszy
trząść się będzie pokraccznie zatrzymana drynda
po raz ostatni ujrzy byłych towarzyszy
ostro nań łypnie zimne oko brauninga.

N I E K T Ó R Y M

Przestańcie obnosić po mityngach swe twarze
na szpalty pism wywlekać papierowe dusze
nikt wam nie wierzy! bezpłciowi kuglarze
czas z łysych czaszek zerwać szumne pióropusze

słowa wasze zużyte wyświechtane łąchy
fałszywe karty w rękach wytrawnego gracza
za złoto dajecie cienko pozłocaną blachę
niejeden święty szkielet w grobie się przewraca

uchodźcie cichcem! kryjcie się po wnękach ulic
by was nie dojrzał ktoś z czarnej gromady
lepiej jest przecie zapaść się niż z hańbą ulec
nie mogąc nawet odparować szpady!

uchodźcie ryzykanci! nie czekajcie dnia
bo przyjdzie! wspaniały i zły wściekły i hardy
w ogień rzuci stuletnie popróchniałe drwa
nie pomogą wam w klapach czerwone kokardy

drżycie! o ciemny kąć wesprzyjcie przerażone oczy
módlcie się o głuchotę! tysięcznych butów tupot już bliski
tłum na was spojrzy — jak niegdyś kołem was otoczy
tysięcustną śliną trzaśnie w wasze pyski!!

A G I T A T O R Z Y

Biegną po ostrzu rozpalonem noża
jak po szerokim moście
wchodzą w ciemne zawiłe bezdroża
jak starzy znajomi goście

mówią wszystkim: drodzy towarzysze!
na cztery strony świata rozdają dłonie
wpadają w ciszę
jak rozhukane konie

jest ich wszędzie tak dużo! tak głośno!
jeden znaczy tu tysiąc
czas przebiegają tęczą ukośną
jedną minutą jest miesiąc

gadają krzyczą przez tuby wydłużonych godzin
gwiżdżą z przestrzeni śpią na garstce słomy
wiecznie w słońcu narodzin
z gliny czarnej jasne dźwigają domy

wplatają się w miasta przedmieścia wioski
na strunach szyn kolejowych z losem grają w kości
na rynkach sterczą jak otwarte kioski
pełne przedziwnych wiadomości

w ponure domy wchodzą jak na białe plaże
odpoczywają miesiące lub lata
potem znów obnoszą swoje blade twarze
po wszystkich środkach i krańcach świata

w kieszeniach pałt przewiewnych noszą dnie godziny
w kątach ócz się czają snopy skier i nadziei
aż kiedyś wrócą do nich ich cudowne czyny
świat się z nimi swą suknią godową podzieli

otuli poszumem szkarłatów ich głowy
tysiące imion stopi w jedno hasło
ciszej! nie mówmy tak mocnymi słowy
by echo nam: Jestem! nie odwrzasło.

TELEGRAMY SPRAWOZDAWCY

1. Wybuchła.
Przecięła katedrę w pół.
Krótkim sztychem
trzasnęła w długi różaniec modłów.
Bomba.
2. Rząd ściąga procenty z kapitału krwi.
Za 200 ofiar wziął 10 tysięcy.
Weźmie więcej.
Niech kraj drży.
3. Za mało więzień.
Nie można ludzi pozbawiać dachu.
Zabijać.
4. Sąd nie ma dowodów.
Zeznaje świadek w gumowym palcie
śmiesznie miele przysięgę w ustach
wilgotne położył palce
na suche rany Chrystusa.

5. Mówi oskarżony:
nic o wybuchu nie wiem
u nas w każdym sercu jest skład ekrazytu
w naszych głowach dynamit złożony
wybuch przetnie kraj cały w pół.
6. Pan prokurator jak organista
na chórze kościelnym
gra na organach swych płuc.
Zakończył krótkim akordem szubienic.
7. Jest wszystko:
kurwy lornetki profesorowie i kinematograf.
Tylko stoły pod strykiem za niskie.
8. Cygan też musi czasem zarobić
pociągnęli za sznur
sz sz n u r r r
9. W czapki potem brudnym cuchnące
zbierali od dam pachnące
miedziaki.

U Ś C I S K D Ł O N I

Żółci czarni brunatni ludzie ludzie ludzie
pokażcie nam pokażcie myśmy biali ślepi
jak się cienkimi palcami grube sztaby rwie
jak się z gliny czerwonej złote domy lepi
jak się bunt wije węzem po złej szorstkiej grudzie
jak się od wschodu na zachód przewala i pnie.

Falszem jest twarde prawo białego człowieka
pękł ekran na który sen swój rzucał Jack London
wstęga obrazów się przerwie załka Mia May
gdy w sieci waszych warkoczy ugrzęźnie Londyn!
żywo pędem na chrzciny niechaj nikt nie czeka
oto w skwarnych lipcach się rodzi zielony maj!

nie pozwalacie truć się oparami opium
ni w złote czy srebrne krążki zwijać waszej krwi
człowiek musi być droższy niż ryż i herbata
musi upijać się winem musujących chwil!
wszędzie spalimy ślad stóp najeźdźczych na popiół
by wreszcie człowiek rozpoznał w człowieku brata.

Wtedy ziemia się stanie jak Djana z Efezu
w tysiąc żyznych jej piersi wciśniemy swe wargi
wszyscy wszyscy biali żółci brunatni czarni
na bramy miast nowych nowe przybijem tezy!
bracie te słowa są tankami chińskiej armji
weź je przytul do serca w skośne oczy zgarnij!

po polsku także się kocha klnie nienawidzi
i u nas jest Czindao tak jak u was jest Łódź
my też mamy niebo ziemię i wewnętrzny front
wszędzie jest człek co ginie i człek co się budzi
oczy przeciera patrzy i z radością widzi:
oto łuki rąk napiąć złowić zielony ład!

Marynarze krążownika Courbet!
zagwoździliście pyski armatom
na lewo zgięli rozwydrzony ster
bryzgnęliście deszczem wspaniałych: nie!
wojna pałacom a pokój chatom!:
przez tuby kominów wasz krzyk się rwie
a bas la guerre!

Marynarze krążownika Courbet!
znyliście pokład ługiem rewolty
trójkolorowy sztandar na czerwień
przemaalowaliście pędzlem buntu
dźwignęli go w górę w jutrzejsze dnie!
świat was widzi — serca sercom na źer!
a bas la guerre!

Marynarze krążownika Courbet!
Słońce na lasso lin ziemię na maszt!
żar krwi rozsadził kotły waszych serc
świat się zapalił łamie się i gniew
bacność! jedziemy! ochotnicza straż!
w ruch siekiery! walić w przegniłe pnie —
a bas la guerre!

OD ŹWIERNI

T. 2.

Jesteśmy dziwni cudowni odźwierni
nigdzie nie służym stale
na całym świecie są portale
u stóp Himalajów czy w Nervi

czzerwonej złotoguzej liberji wierni
otwieramy nieznane bramy
tłum czarnych gości zapraszamy
dziwni cudowni odźwierni

jak latające holendry zmieniamy swój postój
dzisiaj w Warszawie jutro w Kanadzie
jesteśmy jak straszące upiory u mostu
w romantycznej balladzie

nieproszeni stajemy u zamkniętych bram
rozbijamy żelazne zawory
nie znamy piekła palących ran
wierne odźwierne upiory

czasem w ciemnej pod dachem izdebce
otwieramy na oścież głowy
jedno słowo co się tylko szepce
ma pogłos stuechowy

czasem na setnych filarach otwieramy węgiel
witamy ku słońcu modłące się ręce
zostawiamy po sobie krwi cieniutką wstęgę
nic więcej

w jakiejś dziwnej ekstazie nie wstrzymujem kroku
nawet kraty są dla nas tylko drogą przez pole
wieże Eiffel płoną w naszym oku
egipskie piramidy tłuką się na czole

nigdy nie wchodzimy w otwarte pałace
nie wiemy jakie są w nich skarby
strzelamy entuzjazmem jak ogniste race
ponad staw czarny

tylko otwieramy! otwieramy! na oścież!
wieść uśmiechniętą dźwigamy z sobą po świecie
największe mocarstwo tworzymy w najmniejszym powiecie
słowa nasze tłuką w mur jak moździerz

aż przyjdzie dzień będziem już wielce zmęczeni
w otwarte przez nas świąty runie jurny tłum!
położym się w południe pod lasem w półcieniu
ostatnią pieśń wyrwiemy z popękanych strun

my na przedniej pozycji żołnierze wierni
dla nas cud walki nie zwycięstwa pean
Mojżesze nigdy nie wchodzą w Kanaan
dziwni cudowni odźwierni.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



S P I S R Z E C Z Y

| | Str. |
|---|------|
| Poeta | 5 |
| Bunt bruków | 8 |
| Domy | 14 |
| Sklepy | 17 |
| Mosty | 20 |
| Lokomotywy | 23 |
| Automobile | 26 |
| Pacjent | 31 |
| Telegrafista | 33 |
| Inwalidzi | 40 |
| Ballada o „nieznanym żołnierzu“ | 43 |
| Nie | 47 |
| Nocna madonna | 51 |
| Wolna godzina | 54 |
| W celi I | 57 |
| W celi II | 59 |
| Kolacja | 61 |
| Anatole France | 63 |
| Prowokator | 65 |
| Niektórym | 67 |
| Agitatorzy | 69 |
| Telegramy sprawozdawcy | 71 |
| Uścisk dłoni | 73 |
| Sygnal | 75 |
| Odźwierni | 76 |

F
3140